

*dochodzący do naszych pragnień  
ze środka średniowiecza*

*stosy palonych przyzwyczajęń  
cywilizacji osieroconej z naszej godności  
ciał niebieskich wypalonych przerażonych  
brakiem światła i tlenu  
wiecznie krążący wokół obojętności wszechświata*

*jak my spadający ze szkolnych tablic  
w głąb własnej dorosłości  
wiecznie szukający miłości i spełnienia*

Ale żeby nie było tak łatwo z tą łatwością, to powiedzmy od razu, że klasyczność Wrocławskiego, o której już wspominałem, wynika także z tego, że jest on poetą kultury i to kultury z czasu, gdy była ona – przy całym swoim zróżnicowaniu – czymś jednym: dzieliłiśmy wtedy świat na świat kultury i świat barbarzyństwa (także tego „cywilizowanego” barbarzyństwa), prostactwa (nie mylić z prostotą). Wtedy jeszcze zdegenerowanych form życia, a więc i kultury nie nazywaliśmy pop-kulturą, bo kultura w naszym pokoleniu dopiero ledwie zaczynała się pauperyzować, u-pop-kulturniać, dowcip zaczął przegrywać z rehotem, sznyt szarmanckości i kindersztuba zaczęły przegrywać z wulgarnością i chamstwem, także językowym. Wrocławski pisze swoje wiersze w starym dwubiegunowym paradygmacie: kultura – barbarzyństwo, dlatego jego wiersze są m o c n e, bywają p o t ę ż n e, bo stoi za nimi owa kultura i są w y c o f a n e, o d c h o d z ą c e, jakoś przegrane, bo przegrana jest kultura, z której wyrastają. Ale to już nie jest kłopot Wrocławskiego ani mój, chociaż tęsknotę i nostalgię za odchodzącym światem w nich widać aż nadto wyraźnie. Nie martwię się jednak, Bohdanie, pomny przesłania z „Lamparta” Tomassi de Lampedusy, gdy o jednym z bohaterów powiada się tak: „*Myśl o śmierci rozpogadzała go zawsze, tak jak zawsze niepokoiła go śmierć innych ludzi, dlatego że ostatecznie jego śmierć będzie może przede wszystkim śmiercią całego świata*”.

Świat poetycki „Wierszy wybranych” jest ubogacony o wiersze szczególnie mi bliskie, bo dedykowane poetyckim przyjaciołom Wrocławskiego, których miałem zaszczyt znać i ja. Wymieńmy kilka tytułów „Z praskich przedmieść odnotowani”, „Wracając do Kątów Rybackich”, „Łatanie żagli”, „Ktoś jeszcze łąka”. Te wiersze też należą do kultury, kultury ludzkiej i poetyckiej wspólnoty dusz i serc, dłoni i spojrzenia, radości i żalu, dumy i lęku – które dzielimy ze sobą. Wiesz, Bohdanie, że ta wyliczanka nie zastąpi tego, o czym myślę i o czym myślisz Ty pisząc i wspominając Andrzeja, Krzysztofa, Jerzego.

Kultura, wszystkie do niej odniesienia dzieją się w tej poezji w sposób naturalny, nie są tylko wtrącanymi błyskotkami znamionującymi erudycję autora – pełnią one funkcję spoiwa intelektualno-emocjonalnego, którego się nie wyjaśnia, bo jest oczywiste jak oddychanie, słuchanie (muzyka), podanie dłoni. Kultura w wierszach Wrocławskiego jest jego intelektualnym DNA, dlatego dzieje się ona w nich w sposób bezkolizyjny, jakby mimochodem, niemal niezauważalnie, niejako przy okazji. Ten sposób operowania kulturą, jej elementami (obrazy, utwory muzyczne, sceny filmowe czy teatralne, literatura) pozwala na coś, czego w takim natężeniu i sposobie nie znajduję nigdzie indziej, pozwala mianowicie poecie przenieść ją na peryferie swego świata, peryferie dwojako rozumiane, raz że na ów nadmorski skrawek *ojczyzny z wyboru* w Kątach Rybackich a dwa że pozwala wyewoluować ją w prywatnym doświadczeniu, które zawsze jest jakoś peryferyjne wobec ogromu świata. Peryferiami i na peryferiach jako poetyckim toposem Wrocławski operuje znakomicie. Dlatego to, co u innych często jest nieprzekraczalne, dwudzielne, kultura i przyroda, tutaj stanowią jedno: spójny kosmos poetycki, kosmos w starym, pierwotnym a zapominanym często znaczeniu - porządku. W „Wierszach wybranych” Wrocławski porządkuje siebie, swój świat, spuściznę życiową i literacką, pamięć, uczucia (przywołane akapit wcześniej wiersze poświęcone żonie i przyjaciołom). To porządna robota, Bohdanie, możesz być zadowolony... Ja jestem wielce.

**Andrzej Wołosewicz**

**Radowan Brenkus**

## Znachorka

Nina Dobrowodowa wiedziała, że w mieście nieefektywnie uzdrawiają dwaj rosyjscy szarlatani, inkasujący niesłychane pieniądze. Dlatego z chorym synem, któremu nie potrafili pomóc lekarze wybrała się do najbliższej wioski. Stało się tak za radą kolegi, gdy poopowiadał jej, jak mu zielarka pochodziła po kręgosłupie i jedynym nań podskoczeniem mu go nastawiła. Wiadomo, po jej skoczeniu zobaczył wszystkich świętych, jednak od wtedy już dziesięć lat nie czuje dolegliwości.

Przed chatą wił się rząd ludzi. Jedni mieli w koszykach chleb i jajka, kolejni miód i ser a inni kompoty i wędzonki. Każdy według własnych możliwości chciał coś podarować.

Gdy Nina Dobrowodowa weszła do chaty, najpierw przestraszył ją bałagan i brud. Jej syn musiał się rozebrać do pasa, a babina, sprawiająca wrażenie diabła, przykładła mu dłoń na klatkę piersiową, jakby w płucach chciała zwietrzyć zarodki nieznannej plagi. Po chwili odwróciła się do stołu, gdzie w szklanych buteleczkach znajdowały się wszelakie zioła. Przygotowała z nich mieszankę, którą w woreczku podała Ninie Dobrowodowej i wyjaśniła jej, jak często trzeba dziecku dawać pić napar.

– Nie wiem, jak się mam pani odwdziżyć – kładła staruszce na stół banknot.

– Nie powiedzieli pani, że pieniędzy nie biorę – ostro odsunęła jej rękę.

– Nie, nie wiedziałam – przeraziła się i zaczęła ściągać z ręki pierścionek. – Proszę przyjąć chociaż ten drobiazg.

– Złoto to też pieniądze. Gdy przyjdzie pani na przyszłość, proszę przynieść mi cokolwiek innego.

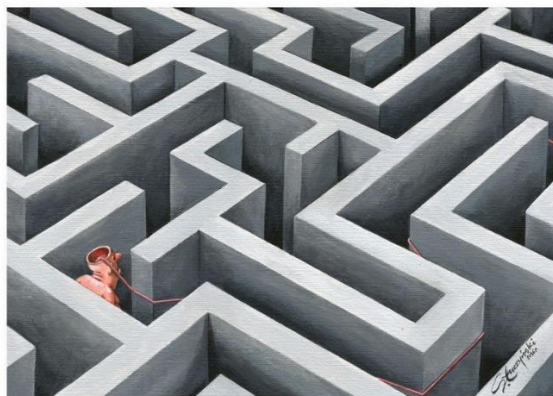
Kiedy tylko synowi zrobiło się lepiej Nina Dobrowodowa ponownie odwiedziła dziwną staruszkę. Przy spojrzeniu na zwały artykułów w izbie pomyślała, że ta prosta kobieta z pewnością idzie złą drogą. Jeszcze raz podziękowała za zdrowie syna i na stół poukladała mąkę. Gdy ujrzała, ile mąki prawdopodobnie marnuje się w tym domu, nie mogła nie zapytać, co z taką ilością artykułów robi staruszka.

– Przecież takiej ilości mąki nawet przez całe życie pani nie wykozysty – stwierdziła.

– A wie pani, że do tej pory nikt o to nie zapytał? A ja często pakuję artykuły do chusty, ile zdołam unieść na plecach, i wieczorami chodzę od domu do domu. Każdemu pozostawię coś na progu. Ja wiem komu powodzi się lepiej, a komu gorzej. Czasami jakiejś rodzinie dostanie się to samo, co mi podarowała – spojrzała na młodą matkę.

Kiedy się Nina Dobrowodowa oddalała się od chałupy, zauważyła, że po zachmurzonym widnokregu prześlizgnął się słoneczny promień, a przez jej ciało przeniknęło specyficzne ciepło, zwłaszcza wtedy, gdy wspomniła, że w brudnej izbie nie było śladu po modlitewnikach i różańcach, że na ścianach z odpadającym tynkiem nie wisały żadne ikony.

**Tłumaczenie: Marta Pelinko**



Rys. Sławomir Łuczyński